

CUD NAD SEKWANĄ

W laickiej Francji cuda są rzadkością, ale jednak się zdarzają. Najnowszy miał miejsce w maju – do Pałacu Elizejskiego spadł prosto z nieba Emmanuel Macron. Pomogły niebiosy? Raczej sami konkurenci. Po francuskich socjalistach od dawna nie ma czego zbierać, znieczuleni depresją jeszcze przed wyborczą klęską republikanie błąkają się po Polach Elizejskich, a Marine Le Pen, jedyna z rozpisany od A do Z programem dla Francuzów, jest bez szans w finalnym starciu z każdym kandydatem, taka już natura jej *Front National*.

Więc wygrał Macron, ni socjalista ni chadek, ni lewica ni prawica, ni liberał ni konserwatysta, po prostu Emmanuel Macron.

■ MAKE FRANCE GREAT AGAIN? NAPRAWDĘ?

Jak mówił podczas kampanii wyborczej, jego program jest tak lewicowy jak prawicowy. To nowy sznyt w polityce – Filip z konopi, wczoraj nikomu nieznan, jutro prezydent kraju, z kołyski establishmentu, rzekomo przeciw niemu. Wiara czyni cuda. Obiecał postawić Francję na nogi, a ponieważ w jej przewracaniu stał w dalszych szeregach, Francuzi uwierzyli. *Make France great again*. To dlatego tak bardzo go lubi Donald Trump.

Make France great again potrzebuje jednak jeszcze wielu objawień, tymczasem na cudzie wyborczym się kończy i Francuzi wracają do bezbożności. Cudom trzeba pomagać, a na to się nad Sekwaną nie zanoszą. Zaledwie minął miodowy okres rządzenia – pierwsze sto dni Macrona u władzy, w których błyszczał na europejskich i światowych salonach, budząc wszędzie podziw i aplauz, a już spadł mu dramatycznie wskaźnik wiarygodności – ufa mu zaledwie co drugi Francuz. I to zanim ogłosił jakiegokolwiek swoje decyzje! Ostatnim tak źle notowanym prezydentem zaraz po wyborach

był w 1995 roku Jacques Chirac. Ale Chiraca nikt nie mianował cudotwórcą i odnowicielem, nie był też charyzmatycznym politykiem, uosabiał cechy bezbarwnego urzędnika prowincjonalnej prefektury. Tymczasem Macrona wyniosła do władzy medialna wiara w jego polityczne „dziewiectwo”. Przekonanie, że choć pracował dla Rothschilda, to jest niepokalanie poczęty, a także, w pewnym sensie, może całkiem sporym, wyjątkowo długoletnia wytrwałość w uczuciach do Brigitte. *Cherchez la femme...* U Francuzów to nadal działa.

Już bardziej autentyczny, chociaż na chwilę, był ostatni w historii znany nam francuski socjalista, poprzednik Macrona – François Hollande. Na początku swojej miałkiej prezydentury, pozbawionej wigoru jak on sam, wyszedł z cienia i wykrzyczał do tłumów: moim największym wrogiem są bogacze i wielka finansjera. Czym w świecie rządzonym przez pieniądź od razu przekreślił swoje szanse na reelekcję, ale przynajmniej na krótko rozpalili ogień w wygasającym piecu francuskiego socjalizmu. Stare dzieje.

■ WAKACJE WE FRANCJI – ŚWIĘTA RZECZ

Francja była i pozostaje niesfornym i krnąbrnym krajem, w którym nowa miotła szybko się zużywa, a Macron zaczął porządki w domach *Grand Nation* od symbolicznego obciążenia pomocy dla najmniej zarabiających, których dochód nie przekracza miesięcznie tysiąc euro. Wprawdzie to tylko pięć euro na miesiąc – o tyle Macron zmniejszył im dodatki na mieszkaniowy czynsz, ale właśnie dlatego tak bardzo symboliczne. Kasie państwa ciężca te przyniosą zaledwie sto milionów euro oszczędności, podczas gdy ogłoszone jednocześnie ulgi podatkowe dla najbogatszych kosztować ją będą cztery miliardy... Ma to być lep na muchy, który pomoże ponoć zwabić do Francji bogatych obcokrajowców. A przecież to tylko początek. Lewica – bez socjalistów, bo ci się nie liczą, atakuje Macrona, lamentując, że chce on zagłodzić najbiedniejszych, a prawica – choć podczas kampanii trzymała w zanadru bardziej ostry nóż, zarzuca mu hipokryzję: Macron oszczędza tam, gdzie nie ma z czego. Jedynie Marine Le Pen jeszcze milczy: po wyborczej klęsce potrzebuje

trochę czasu, aby skorygować swoje polityczne priorytety. Ofensywę zapowiada po wakacjach.

Wakacje we Francji, jak państwowa posada, bagietka, Pernod i czerwone wino – święta rzecz. Kto to słyszał, aby parlament zbierał się jeszcze na początku sierpnia, kiedy już pora wylegiwać się nad morzem?! Jean-Luc Mélenchon, konkurent Macrona do urzędu i szef założonej przez siebie skrajnie lewicowej partii *La France insoumise* – Buntownicza Francja, ostrym sprzeciwem wobec tego wakacyjnego nadużycia wyraza na szefa Macronowej opozycji. Długie letnie wakacje i krótki czas pracy to fundament francuskiego bytu, a zmiana w nim choćby jednej cegły wymaga znacznie większego wysiłku niż jednego, wyborczego cudu. Zwłaszcza że jeszcze do wczoraj było tradycyjnie, po francusku i nikomu to nie przeszkadzało. Nicolas Sarkozy po wyborczej gonitwie odzyskiwał siły na jachcie przyjaciela-milionera na Morzu Śródziemnym, François Hollande po objęciu urzędu leniuchował wakacyjnie, spacerując w cieniu bogatych willi na Côte d'Azur, tymczasem Emmanuel Macron wziął w sierpniu jedynie tydzień urlopu, zaś resztę wolnych dni poświęcił na przebudowę Francji, święcąc Francuzom nie tyle przykładem, co prosto w urlopowe oczy.

■ ZAMACH NA CODE DU TRAVAIL

Ale ten heroiczny wyczyn nie zrobił na jego rodakach większego wrażenia. Po trzech miesiącach urzędowania Emmanuel Macron został już przez Francuzów zidentyfikowany: jest sojusznikiem mniejszości – bogatych i zasobnych, dobrze zarabiających, wydających, narzekających na francuski rynek pracy i gubiących się w gąszczu jego zawiłych przepisów. Bogata mniejszość nie chce płacić na państwowych darmozjadów zalegających na posadach i ciśnie Macrona, aby uczynił kolejny cud – zrobił z tym porządek. Oczywiście owe pięć euro zabrane najbiedniejszym Francji nie zbawi, ale reforma sławnego w Europie francuskiego kodeksu pracy – *Code du Travail* być może już tak.

Kodeks pracy – ta wielka duma starej Francji, której praktycznie już nie ma – ogłoszony został ponad sto lat temu, w roku 1910, a ostatnio zmodyfikowany w 2008. Reguluje stosunki pracy tak bardzo szczegółowo i restrykcyjnie, że aż ją w całym kraju skutecznie paraliżuje. Reguluje wszystko – od rozmiarów toalety w zakładzie pracy po moc żarówek w przebie ralniach, i w gruncie rzeczy wyklucza zwolnienie pracownika niezależnie od tego, jak źle pracuje. Jest w oczywisty sposób jednym z naj-



Emmanuel Macron został wybrany prezydentem Francji 7 maja 2017, po pokonaniu w II turze wyborów Marine Le Pen. Otrzymał 66,10 proc. głosów. Fot. Soazig de la Moissonniere

poważniejszych źródeł francuskiego bezrobocia, eliminuje bowiem zawodowe ryzyko i mobilność na rynku pracy. To wielkie dzieło francuskiej kultury prawniczej i szczyt rewolucyjnych osiągnięć liczy 3900 stron i waży trzy kilogramy. Dawniej nie przeszkadzało, ale dziś, kiedy trzeba gonić Chiny i Niemcy, już tak.

Reforma *Code du Travail*, którą Macron ogłosi 21 września, będzie prawdziwym zamachem stanu, zwłaszcza że Zgromadzenie Narodowe, zdominowane przez jego ugrupowanie LRM, *La République en Marche*, udzieliło mu dalekoidących uprawnień. W przeprowadzaniu zmian, które uważa za konieczne, ma całkowicie wolną rękę, bowiem ze zwyczajowej legislacyjnej procedury w izbie parlament sam się wykluczył – więc Macron może Francję reformować za pomocą rozporządzeń. Tak postępują dyktatorzy, ale Komisja Europejska w tym przypadku milczy – wszak chodzi o wewnętrzne sprawy, a poza tym „dobra zmiana” Macrona ma Francję, ku chwale Europy, uleczyć.

■ WILK W OWCZEJ SKÓRZE

Wprowadzie związki zawodowe zapowiadają protesty, ale jak słyhać, ich przywódcy zostali już

skutecznie zneutralizowani. To oczywiście sukces Macrona, ale i sygnał, że fotogeniczny prezydent w średnim wieku z białym szalem i na rowerze jest wilkiem w owczej skórce i wykazuje zastanawiającą skłonność do „demokratycznego” autorytaryzmu. Pozwala sobie niczym Napoleon: złamał tabu i otwarcie skrytykował szefa armii Pierre’a de Villiersa przed jego upokarzającą dymisją, wytyka Niemcom dobrze funkcjonującą gospodarkę, zrzucając na nie winę za francuskie zacofanie, żąda haraczu od wschodnioeuropejskich firm transportowych i w ogóle zaczyna dyktować wszystkim w Europie swój punkt widzenia. No i potrzebuje blichtru. Rewolucja francuska wycięła skutecznie arystokratów, ale zostawiła ich pałace, więc jej spadkobiercy, francuscy republikanie, mają się gdzie przегlądać w lustrach. Szczególnie Ludwikowy Pałac w Wersalu odzyskuje obecnie swoje dawne znaczenie.

L'État c'est moi, państwo to ja – miał wykrzyknąć w parlamencie w 1686 roku król Ludwik XIV u szczytu własnego absolutyzmu. Piękny *bon mot*, który mimo mijających lat świetnie pasuje i do naszych czasów, zwłaszcza do demokratów w barwach najlepszej republikańskiej francuskiej tradycji, bezwstydnie prawiących o równości w barokowym *entourage*’u. Na przykład do Emmanuela Macrona. Po zaledwie kilku tygodniach na tronie odmówił, po raz pierwszy w historii, tradycyjnego wywiadu dla telewizji francuskiej z okazji narodowego święta Francji – 14 lipca, w rocznicę obalenia Bastylli. To tak, jakby rewolucji francuskiej w ogóle nie było, jakby zabrakło dorocznej wojskowej defilady, jakby w Paryżu nigdy nie stała wieża Eiffla, i wreszcie – jakby Francja nie miała w ogóle prezydenta.

A przecież ma, jest zdrowy, młody i perfekcyjny, nie stracił mowy ani słuchu, a wyjaśnienia jego medialnego rzecznika, dlaczego milczał w tym najważniejszym dla Francuzów dniu, każą naprawdę nadstawić uszu. Otóż Emmanuel Macron po prostu „kompleksowo myśli”, i to tak bardzo kompleksowo, że jego myślenie nie nadaje się do „dialektyki wywiadu”, gdzie zadawane są pytania i oczekiwane są odpowiedzi. Więć wywiadu nie było.

■ JUPITER OPTIMUS MAXIMUS MACRON

Przecieramy oczy? Słusznie. Ale to nie wszystko. Otóż Macron sam, a nie jego biuro prasowe – to kolejna nowa praktyka – doбира dziennikarzy towarzyszących mu podczas wizyt, ponieważ, jak tłumaczy Pałac Elizejski, zbyt wielu reporterów i zbyt wiele kamer „szkodzi” jego bezpośrednim kontaktom z narodem...

Macron chce mu się objawiać niczym Jupiter Optimus Maximus, największy bóg na rzymskim Kapitolu, trochę w stylu zapomnianego już nieco prezydenta Mitterranda, również Jupitera, chociaż właściwie – z uwagi na cechy charakteru, także Sfinksa. Taki czuwający nad losem narodu władca jest w gruncie rzeczy nieprzystępny, tajemniczy, rzadko się odzywa, ale jak przerwie w końcu boskie milczenie, to niebo rozświetlają błyskawice i biją pioruny.

Taki wizerunek władcy na boskim tronie jest w jakiś niezrozumiały i niewytłumaczalny sposób kompatybilny z filozofią państwa republikańskiej Francji, i Macron w szatach Jupitera wcale nie musi czuć się wyobcowany. Zwłaszcza że przecież moźolnie „kompleksowo myśli”. W Macronie-Jupiterze objawia się więc jeszcze klon Woltera, kielkuje w nim filozof, który myśli inaczej niż reszta Francuzów i robi to dla pomyślności Francji. I wcale nie przez przypadek. W akrybicznie skonstruowanej własnej biografii Emmanuel często odwołuje się do drugiej kobiety w swoim życiu poza Brigitte, do babci, która ubóstwiała wnuka i nazywała go skromnie *LElu* – Wybraniec..., był bowiem już jako dziecko inny od innych, skazany na wielkość.

Francji wielkości potrzeba, więc Macron musiał spaść z nieba i zostać prezydentem, a przy tym dobrze się czuje w Wersalu. Jednak ta wpisana mu do życiorysu wielkość może Francji przynieść poważny dramat, jeżeli nie poradzi sobie z przebudową murszejącego kraju. Wszystko jest bowiem *en marche*, w ruchu.

Swoim niespodziewanym sukcesem Macron złamał wszystkie dotychczasowe reguły i naruszył polityczną stabilność Francji. Od 1958 roku polegała ona na tym, że kiedy przegrywała lewica, władzę zdobywała prawica, i odwrotnie. Dziś brakuje wizjonerów zdolnych spojrzeć w przyszłość i odpowiedzieć na pytanie – co po Macronie? Kto będzie autorem wiarygodnej alternatywy, skoro kometa Macrona rozbiła dotychczasowy, dwubiegunowy układ szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał.

■ LA FRANCE, C'EST FINI?

Nie brakuje głosów, że po klęsce Macrona, której oczywiście nie da się wykluczyć, do władzy z pocałowaniem ręki dojdzie Front National, jako jedyna siła z kompaktowym programem, w którym każdy Francuz znajdzie wreszcie coś dla siebie. Zwycięstwo Macrona rzuca więc także niepokojące cienie niepewności, a skrywają one Marine Le Pen. Ostatecznie, Macron

wygrał w drugiej turze nie dlatego, że zachwylił Francuzów swoją wziętą nie wiadomo skąd „dobrą zmianą”, tylko dlatego, że jego przeciwnikiem była szefowa Frontu Narodowego. Ale to już było, nowe rozdanie może być zupełnie inne, zmęczona Francja będzie miała dość eksperymentów z udziałem cudów i powróci na ubitą ziemię. Kiedy powinie mu się noga, Marine Le Pen wyciągnie Emmanuelowi w akcie miłosierdzia poduszkę spod głowy.

La France, c'est fini? Od lat Francja znika z czołowych statystyk i naszej wyobraźni, kraj kręci się wokół własnego ogona. Jeszcze dwadzieścia, piętnaście lat temu była wysoko notowana na rynkach, narzucała tempo w rozwoju wojskowej technologii, medycznych rozwiązań, farmacji, motoryzacji, lotnictwa. Francuskie kino cieszyło się zasłużoną estymą, świat nucił francuskie *chansons*, kabaret uwodził, paryska moda podbijała świat, francuski szampan był najlepszy na świecie, podobnie jak i czerwone wino. Paryska elegancja i związany z nią styl nie miały sobie równych, a miasto nad Sekwaną błyszczało sztuką, kulturą, nauką i technicznymi osiągnięciami. Paryż oznaczał wtedy ciągłość europejskiej, w gruncie rzeczy francuskiej kultury i jej *esprit*, ducha. Mieszkała w nim połowa ważnych filozofów modernizmu. Belle époque była wizytówką najwyższej próby: Marcel Proust, Paul Cézanne, Vincent van Gogh, Pablo Picasso, Claude Debussy, Maurice Ravel, Auguste Rodin, Emil Zola, Louis Pasteur. Niewiele z tego zostało. Pałace nadal stoją, kościoły też są jeszcze widoczne, stylowe kamienice dalej przyciągają wzrok, muzea niezmiennie wabią ciekawskich, paryskim parkom nie brakuje jeszcze tlenu – ale wszystko to utraciło dawny przepych, zasłużoną wspaniałość i właśnie *esprit*, jak avenue Foch, najszerzy bulwar Europy, buchający kiedyś przepychem. Mieszkali przy nim i Rothschild, i Debussy, i Rubinstein, i Bardot – dziś zaniedbany, pozostawiony prawie na pastwę losu przez magistrat niezłoczyliwy zamożnym mieszkańcom, od czasu do czasu koczowisko nielegalnych migrantów.

■ FRANCJA WIE, CO FRANCJĘ BOLI

W paryskich muzeach znajduje się połowa światowych arcydzieł malarstwa i rzeźb, ale zwiedzający o tym nie wiedzą, ekspozycje prezentują bowiem, jak w muzeum Picassa, jedynie jeden procent muzealnych bogactw – ze stu tysięcy eksponatów tkwiących w piwnicach. Chociaż każdy zwiedzający paryskie muzea wciąż napotyka grupy leniwych pracowników

i widzi ich nadmiar, muzea tłumaczą, że brakuje im personelu, a ten należy do kategorii urzędników państwowych, chronionych szczególnie restrykcyjnymi przepisami *Code du Travail*. A to znaczy, że nie muszą być szczególnie wydajni, bo i tak nikt nie przyjdzie na ich miejsce. Średnia stopa bezrobocia w kraju wynosi dziesięć procent, są regiony ze znacznie wyższą, a wśród młodzieży sięga ona dwudziestu pięciu.

Druga – jeszcze! – pod względem potencjału i możliwości gospodarka Europy nie przeżyje, jeżeli nie doświadczy bolesnych reform. Eksperti od dawna wiedzą, co boli Francję, i Francja też wie. Jedna czwarta Francuzów pracuje w sektorze państwowym, w Niemczech tylko dwanaście procent. Finansowanie państwa pochłania sześćdziesiąt procent wydajności gospodarki. Firmy francuskie tracą dynamikę i zdolność konkurencji, paraliżuje je biurokratyczne skostnienie i obawa przed skutkami koniecznych zmian. Generalnie nie oplaci się tworzyć nowych miejsc pracy. We Francji panuje niechęć wobec inwestycyjnego ryzyka. Zadłużenie państwa zjada w stu procentach zdolności produkcyjne francuskiej gospodarki. Ubezpieczenia są chronicznie deficytowe... Wszystko to się jeszcze jakoś kręci, zdaje się że z przyzwyczajenia, ale to marna dziś waluta. Rzeczywiście potrzebny jest prawdziwy cudotwórca, który odwróci złą kartę. Czy będzie nim na pewno Emmanuel Macron, czy udźwignie ten wielki ciężar na swoich młodzińskich ramionach? Nawet, jeżeli wspiera go niezłomna Brigitte?

■ EMMANUEL ODNOWICIEL... JEŚLI EUROPA POMOŻE

Emmanuel Macron jest absolwentem paryskiej École nationale d'administration ENA. To wizytówka sama w sobie. Dostarczyła Francji trzech prezydentów i siedmiu premierów, wielu ministrów, licznych szefów międzynarodowych koncernów. Jej absolwenci są podziwiani i jednocześnie, jak to w życiu, nienawidzeni. Szkoła jest elitarna i jak żadna inna uosabia „system”. Być może losy jej uczniów objaśniają, na czym ów krytykowany z każdej strony „system” polega. Hodowani w niej wybrańcy losu – rocznie około osiemdziesięciu plus mała grupka obco-krajowców – zachowują się bowiem niczym mandaryni. Nauka trwa dwa lata, poprzedza ją ostry egzamin wstępny, do którego kandydaci – po wyższych uczelniach, urzędnicy z odpowiednią rządową praktyką i pozostali, ze znaczeniem większym zawodowym doświadczeniem – przygotowują się nierzadko dłużej, niż trwają same studia. Właściwie ENA nie uczy



Macrona wyniosła do władzy medialna wiara w jego polityczne „dziewiectwo”. Na zdjęciu z grudnia 2014 roku jeszcze jako minister gospodarki, przemysłu i cyfryzacji w rządzie Manuela Vallsa. Fot. Wikipedia

niczego nowego, nie przekazuje studentom żadnej tajemnej wiedzy, ale „pogłębia” u nich już posiadane umiejętności. No i służy nawiązaniu odpowiednich znajomości oraz budowie tak zwanego *networku*, sieci potrzebnych kontaktów. Zdobywa się je nie tylko w szkole, ale przede wszystkim podczas praktyk: na przykład w ambasadach, międzynarodowych organizacjach czy światowych koncernach.

Finałem studiów jest rankingowa lista – najlepsi mogą w nagrodę ubiegać się o stanowiska przeznaczone tylko dla absolwentów szkoły, pozostali biorą to, co spadło ze stołu, a nie są to ziemne rzeszki. Studia są bezpłatne, pod warunkiem że absolwent pracuje później co najmniej dziesięć lat dla Francji. Co piąty wybiera własną drogę, jak Emmanuel Macron, który karierę rozpoczął u Rothschilda, a później był ministrem u poprzedniego prezydenta. Jego przykład pokazuje, że przejścia do prywatnego sektora się zdarzają, ale potem wilki z ENA ciągnie jednak do lasu, czyli do polityki. Również François Hollande, poprzednik Macrona, od którego przejął pałeczkę, jest absolwentem szkoły.

ENA rozmnaża swoje macki niczym perpetuum mobile, na pewno zaś przez pączkowanie. Jej absolwenci nabierają podobnych cech, postępują

się między sobą szkolnym dialektem, znanym tylko w ich środowisku. Zazdroścnicy mówią o nich, że są aroganccy, zadzierają nosa, są oderwani od rzeczywistości i się „sparyżowali” – szczególnie ten ostatni zarzut jest dotkliwie bolesny, ponieważ paryżan kochają tylko sami paryżanie, reszta Francji ich ignoruje. Emmanuel Macron jest właśnie jednym z nich, ale przecież i kimś nieco innym – jest bowiem Wybrańcem niebios i jeżeli Francja mu pozwoli, a Europa pomoże, przejdzie do historii jako Wielki Odnowiciel Grand Nation. *Make France great again.*

■ ODŚWIEŻANE BAGIETKI, KTÓRYCH NIEMCY NIE CHCĄ

W Europie Macron liczy przede wszystkim na Niemcy. W jakimś stopniu Niemcy liczą także na niego, ale owo wzajemne liczenie na siebie wcale się nie równoważy. Kanclerz Angeli Merkel dobrze się żyło w Europie z François Hollandem. Jego smutna twarz mówiła wszystko – za niego i za Francję. Całkowita polityczna klapa, której był ojcem i jednocześnie ofiarą, pozostawiała w Brukseli wyraźne ślady. Francja dreptała za Niemcami i nie była w stanie ożywić europejskiego ducha. Dla Niemiec była to sytuacja bardzo wygodna, bo kiedy Francja czasem mikrycznie przypominała o sobie w Europie, Berlin mógł jej monity elegancko ignorować poradą, aby najpierw zajęła się sobą i zrobiła w domu porządek. Dynamika Macrona i jego pęd do wprowadzania zmian tę komfortową dla Berlina sytuację nieco zmienia..., ale tylko nieco.

Klasa polityczna Niemiec liczy oczywiście na sanację zaangażowania Francji, na odblokowanie europejskiego dyskursu, na współdziałanie Paryża w rekonstrukcji unijnych struktur, aby poradziły sobie z niełatwą przyszłością. Ale nie rezygnując z pragmatyzmu: wiele z sygnalizowanych ofert Macrona to odświeżane bagietki, których Niemcy wcale nie zamierzają konsumować. Francja oczywiście może i przede wszystkim powinna się odrodzić, ale o Europie jutra i tak zadecydują Niemcy. Jednym słowem, największym dziś wkładem Francji do europejskiej integracji, najważniejszą cegłą wzmacniającą konstrukcję Unii Europejskiej będzie nowa Francja, może się nawet nazywać Francja Macronowa, byle była pracowita, oszczędna, zreformowana, konkurencyjna i solidna. Dopiero potem będzie można z nią sensownie rozmawiać o nowych pomysłach ułożenia życia w jutrzejszej Europie.

Różnice poglądów między Berlinem a Paryżem nie są wcale nieistotne, i nie są też zaskakujące. Macron wyciąga z sejfu idee,

które były już na brukselskim stole i zostały zepchnięte do szuflad. Jego europejska filozofia jest odgrzewanym kotлетem. W dawnych latach raczkującej europejskiej integracji mówiło się, że Francuzi mają pomysły, a Niemcy pieniądze na ich realizację. Dziś sytuacja się zmieniła: Niemcy mają i pieniądze, i pomysły, a Francuzi utknęli przy europejskim krawężniku. Chętnie zbudują po swojemu Europę, jeżeli im za ten wysiłek Niemcy zapłacą i niewiele się będą wtrącać – a na to liczyć nie mogą. Nawet czarujący osobistym urokiem Emmanuel Macron ze swoimi cudotwórczymi zdolnościami.

■ ZDĄŻYĆ PRZED BREXITEM

Francja od dawna ma chrapkę na niemieckie nadwyżki finansowe i stąd powracający wciąż pomysł powołania unijnego ministra finansów. Tego chcą także Niemcy, ale wyłącznie po to, aby kontrolował on dyscyplinę finansową i ograniczał wydatki, a nie, jak chcą Francuzi, z gestem wydawał niemieckie pieniądze. Stąd także odgrzewana idea uwspólnotwienia długów w strefie euro, które ostatecznie wyrównywać miałyby Niemcy, bo któż poza nimi? I kolejny nowy-stary pomysł na odrębny budżet strefy euro, kołaczący się po brukselskich gabinetach od dwóch co najmniej lat, podpowiadany już przez Hollandę, tyle że bez osobistego uroku Macrona. Każda inicjatywa w tym kierunku ze strony Paryża to elegancka próba sfinansowania niemieckiego sejfów. A będzie on przecież potrzebny do czegoś innego – po odejściu Wielkiej Brytanii właśnie na Niemcy spadnie największy ciężar wyrównania budżetowych strat. Macron o tym doskonale wie i chciałby zdążyć przed czasem.

Europejski kalendarz narzuca tempo. Cezurą jest rok 2019 – z dwóch powodów: pożegnania Wielkiej Brytanii i wyborów do Parlamentu Europejskiego. Będzie to czas dla Brukseli i wielu europejskich stolic, miejmy nadzieję i dla Warszawy, bardzo pracowity. Do tego czasu najmocniejsze europejskie głowy powinny ułożyć scenariusz przyszłości. Francja będzie miała w jego pisaniu swój udział, ale ograniczony realnymi postępami w sanacji własnego podwórka. Tym bardziej aktywna powinna być Polska. Pomysł Macrona, aby powołać odrębny parlament strefy euro, jest zapowiedzią rozbitcia Unii. Stosowana od początku jej istnienia praktyka wielu prędkości wychodzi wspólnocie do dziś na dobre. Rozbitcie jej struktur wspólnotę zniszczy. Jak na razie Niemcy nie są tym zainteresowane. Ostatnie lata aż nadto dobitnie pokazały, że mniej wspólnotowe, a bardziej międzyrządowe

procedury podejmowania decyzji w Brukseli zapewniły Niemcom silne i skuteczne trzymanie ręki na unijnym pulsie. I to bez boskich objawień. A czasy naprawdę nie były i nie są łatwe.

■ CUD NAD EUROPA

A czym Niemcy są zainteresowane w Europie, którą tak bardzo chce zdynamizować na francuską modłę Macron? Przede wszystkim wyczerpującą odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób zamienić swoje bogactwo na atrybuty unijnej władzy, to znaczy – na ile ustąpić tym, którzy chętnie sięgną do niemieckiej kasy, a Niemcom zrobią więcej miejsca. Angela Merkel jest zwolenniczką zachowania nad kasą kontroli, dmuchanie w integracyjny balon dla samej władzy interesuje ją mniej. Praktyka i tak jest po jej stronie – liczy się nawet nie tyle siła realnego niemieckiego pieniądza, ile przekonanie, że sejfy w Berlinie są pełne i niewyczerpane.

Ale i w Niemczech ostatnie kryzysy pozostawiły spore ślady. Wyciągnięte z nich wnioski dają szczyptę nadziei – dla umocnienia Unii ważna jest nie tylko jeszcze bliższa współpraca, ale i zdecydowanie więcej elastyczności. Tej potrzebują zwłaszcza państwa, które bardziej od innych definiują się poprzez ekspozycję narodowej odrębności, jak dziś Polska. Narzucanie im sztywnych ram jest przestarzałym nawykiem z minionych czasów; akcentując przywiązanie do własnej tradycji, nie stają się przecież z samej brukselskiej i przede wszystkim francuskiej definicji gorszymi lub co gorsza podejrzany Europejczykami. Francja potrzebuje rekonwalescencji, a Europa więcej przestrzeni do swobodnego oddychania, a nie kolejnych krępujących ją reguł (nasza codzienność w Unii zapisana jest już w 400 tysiącach regulacji).

Aby w Europie dobrze nam się wszystkim żyło, od Francji Emmanuela Macrona i Niemiec Angeli Merkel powinniśmy oczekiwać oferty, która ograniczy w unijnej praktyce politykę stawiania innych pod pręgierzem. Jak niegdyś Mao w Chinach, powinny nas obdarować polityką dwudziestu siedmiu kwiatów, niech każdy rozwija się ku chwale całego bukietu. Francja nas tu jednak nie zaskoczy, na kolejny cud Emmanuela Macrona, Wybrańca losu, nie możemy liczyć. Pozostają więc Niemcy, które na całe szczęście nie liczą na cuda, tylko na siebie. Cud nad Sekwaną nas nie dotyczy. Cud nad Europą, tak.

Marek Orzechowski